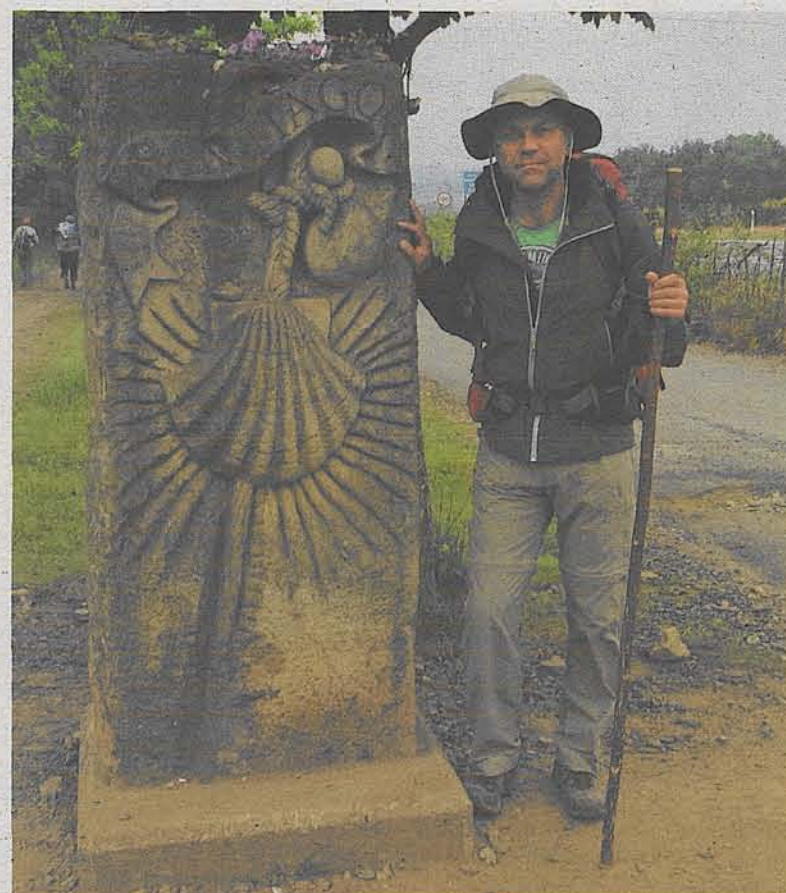


Zbliżenia Żyją wśród nas



Przy muszli, symbolu „Camino”.

Szlakiem św. Jakuba

48-letni Edward Schiwek pochodzi ze Śląska. W 1988 wraz z żoną przyjechali do Niemiec. W międzyczasie rodzina powiększyła się o córkę. Mieszkają w Lorch-Waldhausen.

Piesze wędrowki nigdy nie były hobby Schiwki. W ogóle nie lubi nawet kilka dni przebywać poza domem, a już cały miesiąc...?

Tymczasem właśnie on wyruszył na pielgrzymkę słynną francuską drogą (Camino Frances) z Saint-Jean-Pied-de-Port we Francji, po północnej stronie Pirenejów, a potem przez Nawarrę, krainę Basków, Rioję, prowincje Burgos, Palencii, Leon, Galicję do Santiago de Compostela. 31 dni w drodze, 808 kilometrów.

Mysł o odbyciu pielgrzymki przyszła nagle, krótko przed Bożym Narodzeniem w 2011 roku, a kiedy w gwiazdkowym prezencie od córki Vivienne otrzymał opisywającą „Drogę św. Jakuba” (Jakobsweg) książkę, pomysł zaczął go nie opuszczać. Odtąd myśl-zamiar zaczęła przekształcać się w plan.

Kiedy zastanawiał się na wybranie terminu, bo trzeba było uregulować wszystkie sprawy w prowadzonej przez siebie firmie, znowu z pomocą przyszła mu córka.

„Tato, spakuj swoje manatki, swój plecak i ruszaj do Hiszpanii”.

W maju 2013 roku ruszył w drogę. Pociągami pojechał do Lourdes. Po dwóch dniach tam pobytu pojechał dalej do podnóża Pirenejów, a stamtąd szlakiem pielgrzymim – tzw.

francuskim – podążał do Santiago de Compostela. Już tylko piechotą. Swoje wrażenia opisał w książce „Ein Schritt nach dem anderen – immer weiter. Die Erlebnisse eines schlesischen Pilgers auf dem Jakobsweg”. Ukazała się ona w wydawnictwie Laumann-Verlag (ISBN 978-3-89960-422-1).

Książka też powstała przypadkowo, bo ruszając na pielgrzymkę nie miał takiego planu. Dopiero znowu pod namową córki i znajomych, którzy domagali się, aby ciągle opowiadał o swoich wrażeniach, siadł do komputera. Najpierw było 28 stron, a skończyło się na... 423. Być może ukaże się także w języku polskim.



28 maj 2013 roku, dzień 19.:

Z Mansilla de las Mulas do La Virgen del Camino

Przedemną dziewiętnastą dzień pielgrzymki. W planie przejście do La Virgen del Camino. Prawie trzydzieści kilometrów. Do celu – do katedry, w której znajduje się według legendy grób świętego Jakuba, na placu Obradori w Santiago de Compostela, jeszcze ponad 330 kilometrów.

Wstaję dość wcześnie rano, jeszcze przed szóstą. Pakuję swoje manatki. Jeszcze tylko ostateczne kontrolne spojrzenie po pokoju, czy czegoś nie zostawiłem. Nic nigdzie nie leży, a skoro tak, to znaczy, że wszystko jest spakowane. Kiedy opuszczam schronisko, w którym nocowałem, zegar w korytarzu wskazuje 6.26.

Ruszam w drogę. Ledwie zostawiam za sobą ostatnie zabudowania miasteczka, a już słońce zaczyna powoli wschodzić. Jego oślepiająca blaskiem tarcza zaczyna wrzynać się w horyzont, barwiąc niebo wszystkimi możliwymi kolorami: od ciemnoniebieskiego przez wszystkie odcienie błękitu, szarości, żółty, pomarańczowy aż do ciemnoczerwonego. Przepiękny widok! Krajobraz, zalany porannym światłem, promieniuje w żywych kolorach swoim pięknem. Natura prezentuje się ze swojej najpiękniejszej strony, jak samczyk rajskiego ptaka, który w godowym tańcu chce sobie zaskarbić względy samiczki.

Na zwirowej ścieżce, jakieś dwieście metrów przede mną, dostrzegam dwie postacie innych pielgrzymów, bo tylko pielgrzymi przemierzają

te pątnicze ścieżki prowincji Leon. Dziwnie idą, czym zwracają na siebie moją uwagę. Co chwilę zatrzymują się, żywo dyskutują, gestykulując przy tym zamazyście rękami. Potem jedna postać podąża dalej, podczas gdy druga zostaje nieco w tyle. Czekają. Po kilku metrach ta pierwsza staje, a druga ją dogania. Scenka ta powtarza się kilka razy.

Dziwne, bardzo dziwne. Te ciągłe „przystanki” sprawiają, że idą wolno. Szybko więc zaczynam ich doganiać. Teraz już widzę, że to kobieta i mężczyzna. „Chyba się kłóca” – pomyślałem.

Pierwszego mijam jego. Na moje przyjazne „Hola” odpowiada tylko mruklwym „Hm...”. Kilkanaście metrów dalej stoi ona. Kiedy się zbliżam odwraca głowę w drugą stronę. Najwidoczniej nie chce, żebym zobaczył jej twarz. Ale raz po raz wstrząsa nią głośny szloch. Placze.

Bardzo mi ich żal. „Dlaczego muszą kłócić się właśnie teraz, tu, na tej drodze?” – pytam sam siebie. „Kochali się, a teraz ta ich miłość się gdzieś zapodziała? I nie mogą jej odnaleźć?”

„Panie Boże, spojrzij na te dwie biedne dusze. One się kochały, ale zgubiły gdzieś swoją miłość i teraz nie mogą jej odnaleźć. Pani Boże, ofiaruj im tę zgubioną miłość z powrotem. Daj im rozsądek i siłę, aby się pogodzili. Bez Twojej pomocy sami temu nie podążają. Ty jesteś wszechmocny, Ty możesz zwrócić im

ich miłość, jeżeli taka jest Twoja wola. Bądź wola Twoja! Jezu ufam Tobie...” – modłę się w ich intencji.

Zajęty myślami o tej dziwnej parze oraz modlitwą dochodzę do jakiegoś puebla. Teraz trzeba iść wzdłuż bardzo ruchliwej drogi po chodniku wyłożonym płytkami.

Rozglądam się za barem, jakąś gospodą, bo trzeba by coś zjeść. Wyruszyłem w drogę bez posiłku. Niczego jednak nie znajduję, a tu już widzę ostatnie zabudowania, rogatki Villamoros de Mansilla. Tracę nadzieję, że uda mi się tu coś zjeść.

Został ostatni budynek. Dwupiętrowy, stoi skosem do drogi. Jeden z narożników wychodzi niemal na jezdnię. Aby go ominąć, trzeba z chodnika zejść na drogę.

A za rogiem domu... Rozległy plac i bar, co zdradza reklama coca coli oraz kilka stolików z krzesłami przed wejściem do lokaliku. Z wnętrza dołatuje głośna muzyka, ale to nie hiszpańskie rytmy. Rozpoznaję walca Johanna Straussa. Podoba mi się.

Z filiżanką kawy i kawałkiem ciasta w plastikowej torebce wychodzę na zewnątrz i siadam przy jednym ze stolików. Kilku pielgrzymów przy sąsiednich stołach już je śniadanie. Zaraz po mnie przychodzi czterosemnaścioro Włochów. Wśród nich jest kobieta. Słyszając muzykę, zaczyna głośno śpiewać i tańczyć.

Gdyby nie moja obolała lewa noga..., poprosiłbym ją do walczyka. W tej chwili jestem jednak szczęśli-

wy, że mogę siedzieć. Ani jednego kroku więcej niż to konieczne. Szlak św. Jakuba przez prowincję Leon prowadzi po kamienistych ścieżkach, co daje się we znaki stopom i nogom. Moje to odczuły.

Włosi zajmują ostatni wolny stolik. Zjadłem już ciasto i smakuję resztę porannej kawy, gdy oto zza węgła pojawia się znajoma mi już skłócona para. Ale co to? Oczom nie wierzę!

Idą wolno, trzymają się za ręce, spoglądają na siebie jak zakochani, uśmiechają się do siebie. On odbiera jej plecak, ona wchodzi do baru, kupuje jedzenie... Ostatnie wolne miejsca są tylko przy moim stole. Pytają, czy mogą się dosiąść. To Niemcy, w środku czterdziestki.

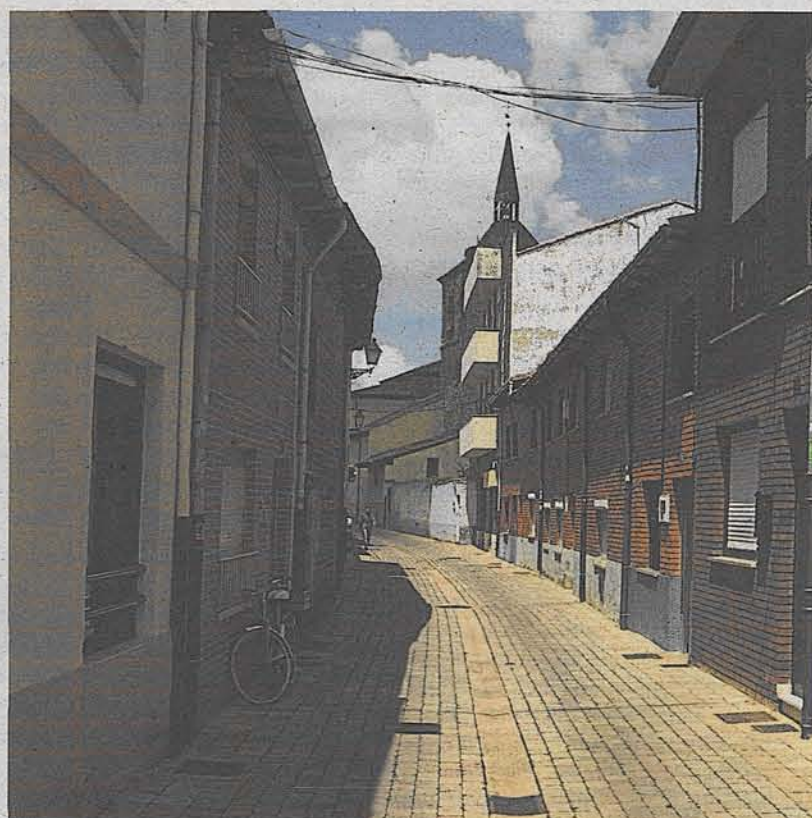
Dopijając swoją kawę przyglądam im się ukradkiem. Ale nawet gdybym patrzył wprost na nich, nie zauważyliby zajęci sobą. Patrzą sobie głęboko w oczy, uśmiechają się. On trzyma ją czule za dłoń... Jak para nastolatków, która przeżywa pierwszą miłość.

Promieniają szczęściem. Ostatni łyk kawy, żegnam się i ruszam w dalszą drogę.

„Jakże oni odmienieni! Nie do wiary! – mówię półgłosem sam do siebie. „Panie Boże, dziękuję Ci za to, że spełniłeś moją prośbę”.

Wiara naprawdę przenosi góry i czyni cuda.

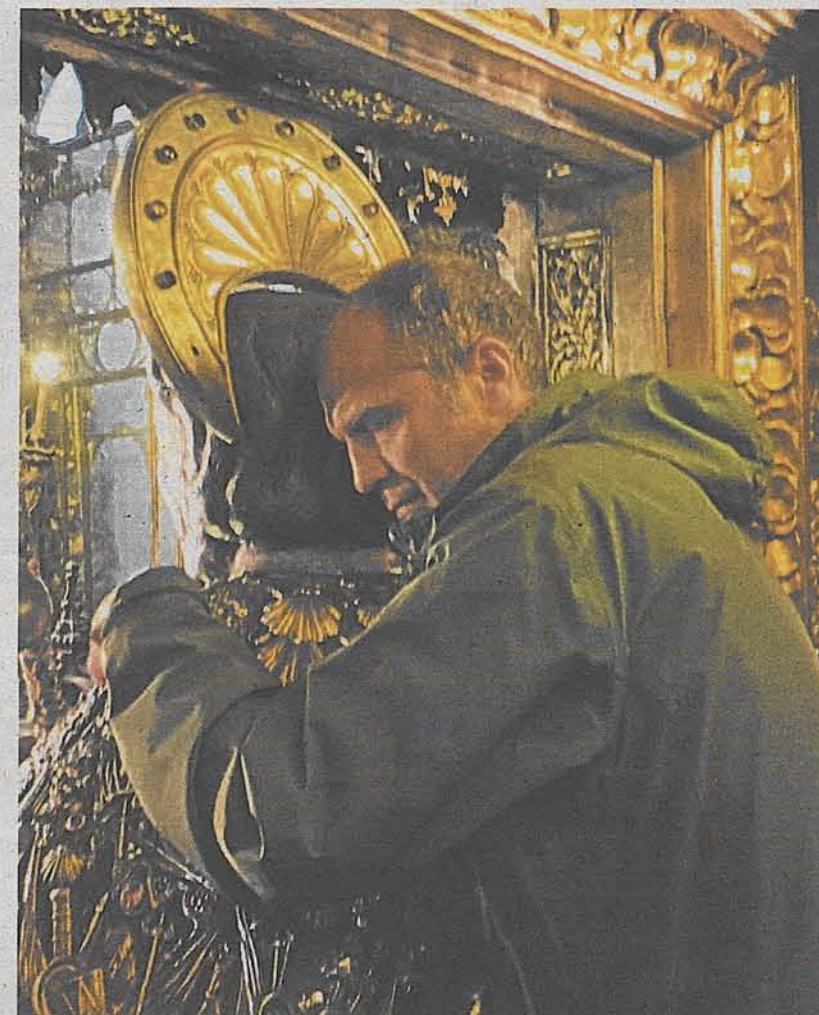
Edward Schiwek
Zdjęcia z archiwum autora



Malownicza uliczka w Mansilla de las Mulas.



Leon. W towarzystwie kamiennego pielgrzyma...



Edward Schiwek po 808 kilometrach Camino przy figurze św. Jakuba.



... i z innym pielgrzymem – Fredem – już u celu, w Santiago de Compostela.

Zbliżenia